



Józef Maliński

część I z II

Sygnatura notacji: **N0320**

Data urodzenia: **07.03.1938 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Dom świadka, Warszawa, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 49 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Józef Maliński: Nazywam się Józef Bogdan Maliński. Urodziłem się w miejscowości Gajówka, gmina Stoczek, województwo dawne warszawskie, obecnie mazowieckie. W rodzinie wielodzietnej byłem ostatnim dzieckiem, dziesiątym. Moi rodzice: Jan i Anna Malińscy, z domu Rostków mama. Urodziłem się 7 marca 1938 roku w tej Gajówce w rodzinie chłopskiej, to znaczy, że zajmowali się rolnictwem, niewielkie gospodarstwo. Rodzina niezbyt zamożna z kilku powodów: sporo dzieci, gospodarstwo niewielkie. No i urodziłem się w 1938 roku, to jest tuż przed wojną, to znaczy rok czasu. Rodzice, tak jak powiedziałem, zajmowali się rolnictwem. Dorastające dzieci, bo muszę powiedzieć, że różnica pomiędzy najstarszym bratem a mną jest równe 20 lat. Tak że już kolejne dzieci, te starsze, były takie dorastające lub dorosłe. Więc rodzice na tę Gajówkę sprowadzili się w roku 1932. I tam się urodziło dwoje dzieci: moja starsza siostra Cecylia i ja, a poprzednie rodzeństwo urodziło się w miejscowości Płatkownica, ponieważ tam moi rodzice się pobrali, mieszkali razem z rodzicami mojej mamy, to jest w domu Katarzyny i Aleksandra Rostek, w miejscowości Płatkownica nad Bugiem. Ponieważ tam dziadek Rostek z babcią mieli cztery córki, moja mama była najstarszą, więc jak dorastały, to musiały też za mąż wychodzić no i po prostu postanowiono, że dziadek pomoże i tamci splotą i moi rodzice kupią sobie w innym miejscu gospodarstwo. No i kupili w tym 1932 roku. To gospodarstwo nie było pełne, ponieważ nie było budynków, tylko ziemia. No i postanowili postawić takie budynki gospodarcze najpierw. No i z tych budynków gospodarczych adaptowali na mieszkanie jedną część. I to trwało do wojny. Ja się urodziłem w 1938, a wojna przyszła w 1939. Ja miałem półtora roku, bo ja w marcu, a wojna we wrześniu. No i... Właściwie to ja już doznałem tej przykrości ze strony wojny, ponieważ u nas była cegielnia, rodzice postanowili zbudować sobie nowy dom. Była prowizorka przed tym. No i postanowili robić cegłę. Była glina, podłoże z gliny było i starsze dzieci pomagały i robili we własnym zakresie cegłę. No i na okres wojny było przygotowane 20 tysięcy

cy cegły, ale surówki, tak zwanej surówki. To jest cegła, kształt cegły, ale jeszcze niewypalona i nie dawała się do zabudowy. I w 1939 roku, zaraz na początku wojny, samolot nadleciał i zbombardowana została cegielnia, to znaczy piec, w którym się wypalała cegła. Została tylko wiata, pod którą było te 20 tysięcy cegły surowej. No i powiem o historii tej wiaty. No i ja przyznam się, że pamiętam dosyć dawno, nawet trudno jest uwierzyć, bo w zasadzie pamiętam swój chrzest 7 września 1939 roku. Tak przez mgłę pamiętam. Pamiętam właśnie, jak jechaliśmy, kto gdzie siedział, kto mnie trzymał. Choć to jest nie do wiary, ale tak było. Więc 7 września, właśnie w ten dzień moich chrzcin, została ta cegielnia zbombardowana. Jak jechaliśmy ze Stoczka, to drogą polną nie szosą, ze względu na bezpieczeństwo, leciał samolot od strony stacji kolejowej Sadowne no i ta cegielnia była pod lasem, nie podobało się im, to zrzucił bombę i poleciał dalej. No i właśnie chrestna z chrestnym i ojciec z przodu siedział i zobaczyli dym. No i pomiędzy sobą tam dyskusja była, „ciekawe kogo zbombardowali”. I się okazało, jak wyjechali z lasu, patrz – a to u nas. No ale to jest taki epizod, który już zadecydował. Drugi epizod wojenny dla mnie to taki, że w 1939 roku późno były żniwa, dopiero też tak w okolicy września, bo to już zbliżał się front no i ja ze starszymi dziećmi, bo mnie nosili w zasadzie ze sobą: Edward, Jadwiga, siostra Jadwiga, Janek i mnie tam ze sobą zabrali na to pole. Ojciec najpierw skosił kosą, a potem dzieci szły i zbierały tak zwane snopki. Sнопek to było zboże, które najpierw było skoszone, zbierało się te snopki, ileś tam tego zboża, i wiązało się i tworzyły się tak zwane snopki. Inni to nazywali garście, ale garście to jest coś mniejszego, bo garście to przy lnie. No i od stacji Sadowne, to jest od nas tam około 5 km, leciał samolot nisko i zaczął strzelać do ludzi. Wcześniej, bo pomiędzy naszą miejscowością, a Sadownem, jeszcze jedna jest miejscowość – Mrozowa Wola. I na polach tej Mrozowej Woli też ludzie robili przy tych żniwach opóźnionych. No i zauważyli, że z samolotów do nich strzelają. No i tam zrobił się szum, wiele nie pamiętam, ale starsi to odczuwali. No i zaczęli nasi, to znaczy bracia i siostra, i mną się opiekowała siostra, to te snopki – wracam do tych snopków – i te snopki, żeby schło to zboże, ustawiano je w tak zwane dziesiątki. Dziesięć snopków obok siebie. W różnych regionach Polski to się różnie nazywały. No u nas nazywały się to dziesiątki. No i jak ci starsi zobaczyli, no to któreś z nich krzyknęło, żeby chować się, bo Niemcy strzelają. No i siostra nie zdążyła, to mnie rzuciła na podłogę, na ziemię, na to rżysko no i snopkiem przykryła i sama się też przytuliła do mnie. A bracia się schowali do tych dziesiątek, do tych ustawionych dziesiątek zboża. No i samolot zaczął strzelać w kierunku nas też. Słysząc, ja tego nie pamiętam, ale ci, co byli ze mną, słyszeli jak pociski karabinowe o tę słomę stojącą wciskały się, no i ten samolot postrzelał, przeleciał i poleciał, leciał nisko ten samolot. To tak przez mgłę pamiętam, jak samolot leciał. No i to taki drugi epizod z czasu wojny. Od 1942 zaczęła się gehenna Żydów. W naszych miejscowościach, w gminie Stoczek mieszkało bardzo dużo Żydów. Nie pamiętam, ale może połowa. Ale i w naszej wiosce też mieszkali Żydzi. No i władze te niemieckie okupacyjne wydały zarządzenie, że od 1942, od wiosny rozszerzała się ta walka przeciwko Żydom. Żydzi uciekali do lasu początkowo i ukrywali się w rodzinach polskich, tam, do których mieli zaufanie, bo nie wszyscy ludzie byli zgodni co do istnienia Żydów w Polsce. U nas akurat tak przed wojną żyli w zgodzie z sąsiadami. No i... Żydzi przychodzili do nas. Przychodzili tak doraźnie, ale jedna z rodzin zatrzymała się u nas. Krawiec, nie pamiętam nazwiska, być może... nie używał nazwiska, ale krawiec był z żoną, swoją siostrą i synkiem Stefankiem. I to były pierwsze takie sytuacje, gdzie na dłużej zatrzymali się ci Żydzi. No było to niebezpieczne, ale na razie nie było tak groźne. Ale ponieważ tak byli i ludzie, sąsiedzi, którym się to nie podobało i zaczęli donosić do policji. Policja przenosiła to do żandarmerii i tak to szło. I od jakiegoś czasu zdarzały się rewizje w domu naszym. Ta rewizja to nie tylko w mieszkaniu, ale i w budynkach gospodarczych. Tam, gdzie były drzwi, tam docierali Niemcy. Trudno jest mi określać, że to było dosyć niebezpiecznie, bo robili takie wrażenie Niemcy specjalnie, żeby zastraszyć,

żeby przyznawać się. U nas właśnie był ten krawiec z rodziną, ale początkowo to krawiec... tak poruszali się ci ludzie razem z nami. Tam, gdzie my, to i oni mieszkali. Jakoś tam to spanie było trudne, ale... Poza tym tę maszynę swoją to ustawił w takiej szopie, w której poprzednio brat najstarszy miał warsztat naprawy rowerów. Tuż przed wojną. A potem to wszystko się załamało. I krawiec, tam ustawili tę maszynę. Ale pamiętam, jak się tak zwane obławy – obława to łapanka – obławy nasilały, to bracia starsi zrobili w tej szopie taki dół i tam była chowana ta maszyna, a ludzie gdzieś w budynkach gospodarczych, gdzie tylko można było. To muszę powiedzieć, że były takie kopce na przechowywanie ziemniaków w czasie zimy. I wiosną to te kopce już były puste, albo całkowicie puste, albo częściowo puste. To i do tych kopców – to tak zwane ziemianki – to też się chowano. Ale coraz było groźniej, no i nie mogli już poruszać się w dzień. Więc zrobiono im na strychu tego naszego prowizorycznego mieszkania, na strychu zrobiono im tam mieszkanie na pobyt. Warunki były takie niezbyt pod względem sanitarnym, trzeba było schodzić, ale dla zabezpieczenia się i dla pewności to wejście było zupełnie zabite na stałe, po to, żeby w razie czego nie... Czy ktokolwiek obcy, czy Niemcy nie mogli wejść. No i tak się zdarzyło, to ten epizod mogę opowiedzieć. Więc Niemcy z nienacka przyjechali na podwórko. Ten dowódca ustawił wszystkich, rozdzielił gdzie, kto ma stać, po dwóch żołnierzy z bronią przygotowaną do strzału. I gdzie drzwi były, to tam biegli szybko. Była taka szopa na drewno na zimę, opałowe. Stodoła, stajnia. No i u nas tam, gdzie to było, ten dom jest, w jednej części było mieszkanie, a w drugiej części był inwentarz, a pośrodku była taka duża przestrzeń, sień się nazywała. No i ci Niemcy wpadli do domu, dowódca, a ci Żydzi, jest ich czworo na górze. Akurat ja z tymi starszymi braćmi byłem w tej tak zwanej sieni, a siostry z matką były w mieszkaniu. Ojca nie było, jakoś tak ojciec czymś się zawsze zajmował. Nie było ojca wtedy. No i zaczęła się rewizja. Ale jeszcze jedno. W tej rewizji żołnierzami byli Ukraińcy, a dowódcą był tylko Niemiec. No i zaczęli szukać tam w tej sieni, po lewej stronie było to pomieszczenie inwentarzowe. No tam przejrzeni, i koniecznie na ten strych chcieli się dostać. No ale bracia mówią: „To niemożliwe, niemożliwe dlatego, że ściana jest wryta na stałe, zabita”. No bardzo nie wierzyli, nie chcieli tego przyjąć do wiadomości. Więc koniecznie chcieli drabiny, ale drabina była wyniesiona. Mieliśmy drabinę, była schowana, żeby utrudnić tę sprawę wejścia. No i wytworzyła się taka dyskusja pomiędzy, no ale ci Ukraińcy mówili pomiędzy sobą takim językiem ukraińskim, to znaczy zbliżonym i do polskiego i do rosyjskiego, a rosyjski jakoś tak był bardziej przyjęty u nas – nie wiem, dlaczego, nie pamiętam – i po długiej dyskusji uznali, że no... A bracia też tak, jak usłyszeli, że to mowa nie niemiecka, no to zaczęli przekonywać w swoim stylu, że tam nie ma nikogo, bo to jest pomieszczenie na stałe zabite. No i w końcu uwierzyli. Uwierzyli, weszli do mieszkania i zameldowali dowódcy, że nie ma Żydów. A poza tym to każdego z nas pytali – mnie też – tych starszych, bo to jeden brat był 9 lat starszy ode mnie, drugi tam 12 czy 13. No i tak się to odbyło. No wszyscy pod strachem, bo wiadomo, że jeśli by się tam dostali na ten strych, to jednak i nas by nie było i Żydów by nie było. No i następnie ten dowódca wysłuchał to. A w domu zrobili rewizję szczegółową, wszystkie łóżka porozrzucane, wszystkie zakątki, wszystkie szuflady, w stołach wszystko powyrzucane. No tak jak to się robi w rewizji szczególnie. No i okrzyki, krzyk, hałas. No tak się stało, że wtedy odstąpili od tej rewizji, a w budynkach gospodarczych nikogo nie było. I tak nieraz bywa, cztery osoby pewnie. Wyszukujemy tych miejsc straceń Żydów, których zabito w czasie wojny przez Niemców. Tam w terenie, tam, gdzie ja mieszkam. Dlatego, że on prowadzi tę fundację, Fundacja „Pamięć, która trwa”. Po rewizji ona zebrała wszystkich i dopiero płacz radości nastąpił. Że przeżyliśmy, przecież wiedza jest, że tam na górze czworo Żydów. No i tak to trwało. Te rewizje trwały w różny sposób. W końcu było już niebezpiecznie. Ja nie powiedziałem, że nasz dom znajdował się, to gospodarstwo ok. 200 metrów od szosy głównej, która prowadziła z powiatu węgrowskiego do powiatu Ostrów Mazowiecka. No i Niemcy tam często z tego powodu zajeżdżali. Ale wracając

do tego tematu, to ci Żydzi, ponieważ ojciec miał rozeznanie nie takie jak dzieci, dzieci tylko podsłuchiwały, tak jak ja, to ojciec nie pozwalał nawet podsłuchiwać, miał świadomość, że tak w Stoczku Żydów i Polaków zamordowano. Trzy kilometry od nas. W Mrozowej Woli, dwa kilometry od nas, Niemcy pędzili tą szosą Żydów. Różnie: furmankami, samochodami, pieszo. Mieliśmy pogląd na tę sprawę. I pod Mrozową Wolą zabito 10 osób. Z tym, że jedna przeżyła, bo matka ją zasłoniła swoim ciałem, taka młoda, 8-letnia dziewczynka. To później jeszcze o szczegółach powiem. W Toporze robili obławy. Topór to jest wieś z drugiej strony, najbliższe budynki z Toporu są 0,5 km od nas, a sama wieś to 1 km od nas. I tam też Niemcy przyjeżdżali, robili te obławy. I skutek taki, że 16 Żydów tam zabili, zebrali, ale to też później w szczegółach opowiem. Także postanowili rodzice, postanowili i ojciec tam dał im jakieś materiały i dwaj bracia Edward i Janek, trzy kilometry od naszego domu, w lesie, we wsi Księżyzna – to wszystko można sprawdzić – zrobiono tam bunkier taki w ziemi, taką ziemiankę. No i oni to zrobili, ci Żydzi się tam nocą przenieśli, i ja ze starszym bratem nosiliśmy tam tę żywność, żywność wytworzoną przez naszą mamę. W tym czasie ja miałem 4 lata. Ale to dokładnie policzę. Cztery lata. Cztery i tam kilka miesięcy, bo to lato. Cztery lata i cztery miesiące. No i chodziliśmy tam z bratem. Moja rola to była taka, osłaniać brata, bo jak idzie dwóch, to już wiadomo. Jak idzie jeden, to zaraz pytali: skąd, dokąd i tak dalej. Chodziliśmy nie drogami, tylko na skróty. Przy rzeczce. Taka mała rzeczka była, jest, tylko wody już nie ma. Rzeka Ugoszcz się nazywa. I chodziliśmy tam kilka, nie wiem, ile razy, kilkanaście, bo to trwało dłuższy czas. Gdzieś ze dwa miesiące tam mieszkali. W końcu poszliśmy ostatni raz, to już ich nie zastaliśmy. A jaki sygnał? Z nami chodziła nasza suczka. A ta suczka знаła tych na podwórku jakby. I tak było, że taka mądra była, ale nie nauczona, tylko mądra, sama z siebie, że jak zbliżaliśmy się do tego schronu, do lasu, bo to na skraju lasu, w tej Księżyźnie, to ta suka wybiegała ze szczekiem i tamci słyszeli i wychodzili. Tak że, jak myśmy dochodzili z tym jedzeniem, to oni... jakaś tam osoba, czy ktoś tam wychodził i odbierał to, tak żeby już do samego tego schronu nie wchodzić. No i w pewnym momencie to wszystko się urwało. Ta suczka pobiegła do tego, jak zwykle, ale wróciła, ogon podkuliła pod siebie, i myśmy wrócili z tym jedzeniem do domu. No i wielki smutek, że prawdopodobnie ich zabili, ponieważ w Toporze tam była taka masakra. I ta wiedza, że ci Żydzi zostali zabici, trwała do ubiegłego roku, do 2021 roku. I wszystko się odmieniło. I oni żyli jeszcze, tylko z tego schronu poszli do innych miejscowości za torem kolejowym relacji Warszawa-Małkinia. Ja się o tym dowiedziałem w czasie odsłaniania takiej tablicy, o której ja mówiłem. We wsi Krupińskie 16 listopada ubiegłego roku była odsłaniana tablica. I jeden z mieszkańców Krupińskiego zaczął opowiadać, a ja stałem, rabin krajowy stał i jeszcze ktoś stał, i on zaczął opowiadać, że u nich też tam Żydzi byli. No i ja go zapytałem bardziej szczegółowo, no jak byli, to niech pan powie. I on powiedział właśnie, że u nich mieszkał krawiec z żoną, ale już bez siostry. I bez maszyny, bo u nas jeszcze miał maszynę, a tutaj już bez maszyny. Może gdzieś tam po drodze zostawił, może sprzedał, może na życie. I u nich mieszkał tam gdzieś od sierpnia, września, koniec sierpnia, początek września, do tego listopada, kiedy zostali tam zabici. Bo ten krawiec z żoną wyszli albo oddać to szycie, które oni robili, albo wziąć. I tak ten człowiek mówi, że rano wyszli, no i Niemcy jechali, przypadkowo jechali, i jak ci zobaczyli Niemców w samochodzie, to zaczęli uciekać. Jak zaczęli uciekać, to Niemcy ich zastrzelili. I taka tablica – właśnie brałem w tym udział – została odsłonięta w listopadzie, 16 listopada ubiegłego roku. No i zainteresował mnie ten człowiek. Że o tych krawcach, bo przecież to samo imię dziecka, nazwisko Krawiec, czy zawód krawiec, ale wymieniał: krawiec z żoną. No i właśnie poprosiłem dyrektora muzeum w Treblince, żeby się zainteresowali tym. No i w czasie wywiadu powiedział więcej trochę, bo ja nawet list od niego mam taki, mogę państwu później pokazać, że ci Żydzi mieli tam przechowanie. No i się okazało, że jeszcze od Księżyzny poszli przez tor kolejowy relacji Warszawa-Białystok do wsi Zieleniec i tam też chodzili, bo kto inny też mówił nam,

że chodzili i u nich do Krupińskiego się dostali. Byli tam te dwa miesiące, on nie pamiętał, on jest rok młodszy ode mnie, ale pamięta, że byli i że mama mu to opowiadała. Bo na początku wojny zabili Niemcy jego ojca. Ja teraz dociekam tego, że jednak od nas odeszli żywi ludzie. No i dyrektor w Treblince to popiera. Tak że to jest wersja jedna. Druga wersja. Trzy Żydówki mieszkały od kwietnia, może od połowy, może od końca kwietnia 1943 roku do końca sierpnia, do sierpnia założmy, 1944. Tak że mieszkały u nas półtora roku. Przebywały, nie mieszkały, bo to trzeba ciągle było ukrywać. I ta jedna... I miały polskie dokumenty, polskie nazwiska i polskie dokumenty. Oczywiście... lewe, jak to się nazywało. Więc one przyszły z... Łosiewicz, wieś Łosiewice, tam duże lasy były. A początkowo one mieszkały, one pochodziły z Tłuszcza, tylko że ciągle uciekały i uciekały no i dostały się aż w rejon Łochowa i do tych Łosiewicz. Na mapie można wszystko znaleźć. No i w tych Łosiewiczach zrobiono tam już taką obławę, można powiedzieć, czystkę. Tam zabito 70 osób, Żydów. A one się tam skryły w pewnym domu, czy nawet ktoś ich tam ukrył pod podłogą, w wiejskim mieszkaniu, pod podłogą. Te trzy Żydówki i tę rodzinę, która przechowywała tych Żydów wszystkich pod podłogą, zabili deskami też na mocno. I na to położyli ludzie tam chodniki i na to postawili stół. I w ten sposób przeżyły tę rewizję. Ale dalej tam buszowali Niemcy, bo tam to działo się wszystko u naszej kuzynki. U dalszej rodziny, to była dalsza rodzina, ale wtedy się mówi, że to kuzynka. I ona, jak to wszystko tam ucichło, no to jedną przyprowadziła do nas, do naszego domu, tam w tej Gajówce Zachodniej, i powiedziała, że przyprowadziła Polkę. Nie mówiła, że to Żydówka. Polkę, że uciekła z Łapanki, w Warszawie. Uciekła zagrożona śmiercią. Życie miała zagrożone śmiercią. Początkowo rodzice nie chcieli, bo u nas tak: dzieci dużo, ciężkie, trudne warunki, wojna, blisko szosy i las po drugiej stronie, ale taki niewielki, prywatny, należący do gospodarstwa. No ale ta kuzynka prosiła, no i tamta też błagała, bo uciekła przed śmiercią. Ojciec przede wszystkim nie chciał, bo ojciec jako odpowiedzialny za rodzinę to nie chciał. Ponieważ ta kuzynka była również kuzynką tych moich starszych braci i siostr, no to miały jakiś tam wpływ, a najwięcej miała matka. Zgodziła się, bo to od rodziny matki ktoś to przyprowadził, więc zgodziła się, zgodzili się rodzice w końcu. Została ta jedna, i to była panna. I nie stwarzała wiele kłopotów, bo nie była podobna do Żydówki. Zresztą na zdjęciu pokażę. Ale za kilka dni w przyptywie szczerości i zadomowienia się ta Żydówka przyznała się, że ona jest Żydówką, że uciekła nie z Warszawy, tylko z Łosiewicz, że tam pozostała jeszcze siostra, której grozi też śmierć, z córeczką, bo ojciec zginął, właśnie tam zginął, w tej strzelaninie. No i czy mogłaby przyjść? To ojciec się zdenerwował, jak to chłop, a matka wysłuchała. Chciałaby, ale wiecie państwo, kto rządzi na wsi. Chłop i basta. No ale jakiś wpływ miały znowu te dzieci i matka, tak że zgodził się. No i w końcu ta kuzynka też przyprowadziła, za kilka dni przyprowadziła tę drugą, to były siostry, tę drugą siostrę z dzieckiem. To dziecko to była dziewczynka, była rówieśniczką moją. No i też miała polskie dokumenty. Jedna się nazywa Krawczyk, Maria, ta panna samotna, ta mama z córką nazywała się Radzymińska, na imię miała Konstancyzna, no i to dziecko miało na imię Halinka. No i Halinka... I nas było dużo. Ja byłem najmłodszy, siostra trzy lata starsza, mój brat kilka lat znowu starszy. No i to dziecko tam, jakoś tam... Właściwie wszyscy przyszli i tak: biedni, bez pieniędzy, bez jakiegokolwiek bagażu. Tylko tyle, co miały na sobie. To była wiosna, tak że bardzo skromnie. No i z wielką trwogą. No i potem, jak już trochę to się wszystko uspokoiło, te emocje, no to ta pani, ta mama Konstancyzna miała kogoś koło Siedlec. I tam wyjeżdżała i wracała. Ta panna z kolei zaczęła handlować, wozić żywność do Warszawy, do getta. To znaczy na handel, ale tam część do getta. Nie dostawały się bezpośrednio do getta, tylko na Pragę. Na Pradze gdzieś tam było jakieś mieszkanie kontaktowe i tam zostawiały część pożywienia, tam ktoś odbierał. Siostra nie mogła... Raz tam kogoś zobaczyła, ale to tak było wszystko ukrywane, nawet przed siostrą. No w czasie tych podróży do Warszawy było różnie. Więc ta Żydówka, jak dojeżdżał pociąg do Tłuszcza, to ona się chowała, żeby ją tam ktoś nie zobaczył

na peronie, ktoś znajomy, czy nawet może i Niemcy. To było tak, że tam i zabierali Niemcy tę żywność też. A że była mała podobna do Żydówki, polskie nazwisko, to jakoś tam przetrwały, ale było różnie. A one woziły tutaj takie kiełbasy czy tam szynki tutaj pod... Mówi, że raz im zabrali to wszystko Niemcy. I jak u nas były, no to bardzo ludzie się interesowali tym. Donosili tam na policję, znaczy do policji granatowej. Tak że donosiło się i też przyjeżdżały, przyjeżdżali Niemcy, przyjeżdżali różnego rodzaju inni też ludzie tajniacy. Ciągłe pytali, bo ludzie donosili. Nawet tam z policji jakieś przecieki były do ojca, że: „Maliński, uspokójcie się, bo są donosy, że u was są Żydzi”. No i potem pojawiały się te rewizje znowu, tzw. obławy. No to różnie było. Przeważnie to najmłodsze dzieci były obecne w domu z matką. I tej rewizji to myśmy najwięcej przeżywali. Starsi to tak albo poza domem, albo... No starsi bracia, trzech należało do AK, to ich też często nie było w domu. Ojciec miał jakieś roboty, albo u ludzi, albo u siebie, a my z matką zawsze. Więc kilka takich epizodów było, to mogę się podzielić z Państwem. Więc Żydówka była sama, ta mała, to dziecko. No i też ktoś tam spojrział przez okno, że Niemcy na podwórku. Nie było już żadnego innego ratunku. Mama wsadziła tę córkę, tę Żydówkę do pieca chlebowego. A piec chlebowy to coś takiego, jak to określić... Nad kuchnią, w głębi był zbudowany duży piec i drzwiczki były większe, nie takie kuchenne, tylko większe, tak jakby od piekarnika czy coś takiego. Matka tam ją wsadziła, to dziecko: „tylko spokojnie”, a to dziecko było już tak wyuczone, że ona wiedziała to wcześniej, i wiedziała, że to jest łapanka, trzeba zachować tę ciszę. I grzeczna była, posłuszna była, i matka tam ją wsadziła. Założyła drewnem takim opałowym, garnkami, naczyniami kuchennymi. No i Niemcy przyszli oczywiście. To też rewizja dokładna: łóżko, pod łóżkiem, gdzie tylko można było. Pierwsze słowa niemieckie to były: „Czy Judy jest?” Tak było. Polskie słowa. „No nie ma”. No to popatrzyli, bo to mieszkaliśmy w jednym dużym pomieszczeniu. Później to zrobione było w budynek gospodarczy, inwentarzowy. No i łatwo było, bo zakamarków nie było, więc to obejrzel, że nie ma. Ale w tych budynkach gospodarczych to szczegółowo bywało tak, że siostra jedna. Tam były zrobione z kolei w stodole, tam, gdzie zboże było lub siano, to zrobili takie otwory w głębi. No i kiedyś jak siostra była tam z tymi Żydówkami dwoma, w tym otworze, w tej dziurze, tak można powiedzieć, to Niemcy tam też wchodzili, nawet z bagnietami i tam kłuli, ale to było za głęboko, żeby sięgnąć. I tak to trwało. W innym czasie rewizja była, to było trochę zabawne, bo mieliśmy takiego małego kotka, który sobie leżał na łóżku, a Niemcy przyszli z psem. I tak kot sobie spał, a pies jak to pies – zadaniem psa było obejść, powąchać, no i obudził tego kotka. Jak ten kotek się obudził, tak do tego psa. Pies taki, a kot taki. I zaczęła się tam gonitwa w tym dużym mieszkaniu. Ponieważ drzwi były otwarte, ten kot za drzwi i w tej sieni wdrapał się pod sufit. Pies za nim stawał, ale nie mógł dosięgnąć. W końcu jeden warczy, szczeka, drugi też swoim kocim głosem wydaje. W końcu jakoś tak, że wydostał się już i bieganina była też. W końcu wydostał się na podwórko ten kot. Pies za nim. Kot na drzewo i pies za nim. I żołnierze też zaczęli się chichotać. Kot skoczył na drzewo, a pies położył się i szczeka co jakiś czas. No ale Niemcom się naprzykrzyło, to chociaż wszystkich rozbawiło, oprócz dowódcy. Dowódca to zawsze – jak to dowódca. No i tamci pobiegli za kotem, a ten Niemiec, ten dowodzący został, a na stole stały jajka, tam kurze jajka po prostu. Może celowo mama postawiła. I on zwrócił na to uwagę, jak nikogo, tych Niemców nie było i pozostałych żołnierzy nie było, no to on pyta: „Matka dać.” Matka tam włożyła jakąś tam torbę i dała. No to podziękował. Dobra, poszli. No i tam zebrał wszystkich tych żołnierzy, którzy byli na podwórku, którzy byli w tych pomieszczeniach gospodarczych. No i odjechali. Bywało tak, że i pieszo przychodzili, nieraz od lasu. Od lasu to policja granatowa przyszła, ale przyszła z sołtysem. A sołtys miał niemieckie nazwisko. Czy on był folksdojczem, nie wiadomo. Ja nie pamiętam, mówią starsi, że był, ale tam przychodzili, mieli takie same wiekowo dzieci jak u nas. Myśmy tam się odwiedzali, chociaż to tam do nich było jakieś 300 metrów przez las. No i przyszła ta policja, a to wtedy widać było

przez okno, że idą. Znowu mama zadziałała i po prostu brata pod pierzynę i te Żydówki, troje pod pierzyną na łóżku i że tyfus panuje i że chorzy. No i to się też udało, bo ojciec wyszedł, bo wtedy ojciec był, wyszedł i do tego sołtysa, mówi po polsku, sołtys nie mówił po niemiecku, przetłumaczył im, że tu jest tyfus, że tyfus panuje i że trzy osoby chore w łóżku. No i tak było, ale on nie bardzo wierzył, ale wejść się bał. Przez okno patrzył, czy rzeczywiście. Na to widać głowy, głowy spod pierzyny wyglądały. I odstąpili od rewizji, dlatego udało się przeżyć. W innym czasie, z kolei w tej dużej chałupie, bo tych rewizji było mnóstwo, mnóstwo było, bo myśmy mieszkali po drodze do tej wsi Topór, a ta wieś była duża i tam też byli przechowywani. Tak jedni przechowywali, drudzy donosili. A ta droga to była taka błotnista, tak że tam, jak nie mógł samochód przejechać, to samochód zostawiali i szli pieszo do tego Toporu. No i właśnie też tam kiedyś ktoś tam krzyknął, bo okna były tak naprzeciw siebie, z jednej strony od południa i od północy. Patrzył – Niemcy. No i wtedy nie było też wiele i wtedy wszystkie trzy były. No to była taka duża szafa wiejska, trzydrzwiowa, ona miała jeszcze szersze, jak teraz te nasze trzydrzwiowe szafy. Stała w rogu. No to wtedy, kto był, to szafę odsunęli i te Żydówki na stołeczku postawili trzy, na takim małym stołeczku, bo matka tam ustawiła, żeby jak stoi czy pies, czy ktoś tam, to żeby nie było nóg widać. No i zaczęli znowu buszowanie w mieszkaniu, a tam stoją trzy Żydówki w rogu, za szafą. No żaden nie wpadł na pomysł, bo nas było dużo. Tak że ta ilość to też była jakąś ochroną. No tam pokręcili się, pokręcili się, że nie ma. I chyba wtedy też ten sołtys był, już nie pamiętam. Tak że uznali, że nie ma, bo to dużo dzieci. Były jeszcze takie inne drobne, ale to już nie wszystko się pamięta. No i były do wyzwolenia, to znaczy tuż przed wyzwoleniem w naszych terenach – to troszkę wcześniej było, jak tu w Warszawie – tam Rosjanie przyszli chyba w lipcu na te nasze tereny, no to te Żydówki opuściły ten dom, już jak się front zbliżał. Chyba wyjechały do Siedlec, bo tak front był pomiędzy Siedlcami a tą naszą miejscowością. I one jakoś tam opuściły ten dom. Ale opuściły nas z wielkim szacunkiem, nie żalem, tylko rozpaczą radości. Matkę całowały po rękach, że uratowała im życie. To takie kilka zjawisk, co mogę powiedzieć. A jeszcze co? Mieliliśmy... Ta wiata to służyła za miejsce schronienia dla Żydów. To pod lasem było. Żydzi brali sobie tych cegieł i tam wewnątrz zorganizowali sobie też to schronienie. No i to tak stało do jakiegoś czasu. Może też tam ktoś doniósł, może nie doniósł. No i Niemcy w czasie tej oblawy zauważyli to, że tam jakiś budynek stoi. No i tam udali się. Budynek gdzieś tak ze 200 metrów od budynków naszych mieszkalnych. No i poszli i uznali, że mogli tam być Żydzi w tym czasie, kiedy ta oblawa była. Więc podpalili tę wiatę z tą cegłą. To była wiata pokryta słomianym dachem. A tu boki były wolne, przewiew miał być. I podpalili, ale najpierw oblali paliwem, jakimś płynem takim łatwopalnym. No i spalili. No spalili i rzeczywiście, jak to spaliło się, to było widać, że tam taka luka była dla tych Żydów. No Żydów wtedy akurat nie było. Ale myśleli, że Żydzi może uciekli, bo tam blisko było zboże sąsiadów, już za miedzą. No więc spalili i to zboże. Tak że zaczął się i las palić. No ale oni podpalili i stali dotąd, aż ta wiata się nie spaliła całkowicie. No i to zboże się spaliło. Tak że, jak odjechali, to ja sobie przypominam przez mgłę, że z tym bratem, który był wiekowo najbliższy mnie, żeśmy tam pobiegli. I jeszcze w lesie, las był taki niewielki, to w lesie jeszcze te kolki się paliły. No i to tak trwało półtora roku. A kiedyś było tak, też ta Halinka była z nami, to żeśmy uciekli do lasu, w kierunku lasu, ale nie zdążyliśmy. Niemcy zobaczyli, że dzieci uciekają, to zaczęli strzelać za nami w kierunku lasu. To szybko położyliśmy się. To wtedy dowodziła tą grupą siostra Regina. I biegło nas tak: Regina, Jadwiga, Cecylia, ja i ta Żydówka biegliśmy. Ziemiaki rosły już, duże były takie todygi, i w grządku z tymi ziemniakami weszliśmy. To strzelali w naszym kierunku. A brat Janek został po to, żeby powiadomić, co się dzieje. Jak Niemcy odjechali, dopiero przyszedł do nas. Wiele razy uciekaliśmy, nosiliśmy, a oprócz tego, to przychodni też byli Żydzi. To bracia zrobili w naszym lesie – w naszym gospodarstwie był taki nieduży las – zrobili też taką jamę w ziemi, tam gałęzie położyli na górze. I też wieczorami nosili. Ja nie bra-

łem w tym udziale, tylko starsi. Albo sami Żydzi przychodzili do naszego domu też. No i tak to się odbywało. Coś jeszcze? – Może, czy te Żydówki, te dwie starsze i ta mała Halinka, czy na przykład mama uczyła ich jakichś polskich modlitw? – Tak, może nie tyle mama, bo to dużo nas było, to mama się zajmowała ogólnie gospodarstwem, siostra Regina i Jadwiga. Jadwiga urodziła się w 1929 roku. I to tam w tej Płatkownicy jeszcze. Tak że chodziliśmy do kościoła razem. To znaczy Jadwiga, nieraz Regina, ale tak nawet ta Jadwiga, Cecylia i ja. Janek raczej w domu, pilnował domu, bo Edward też pilnował domu i nieraz tam wyjeżdżał do dziadka nad Bug. I chodziliśmy do kościoła. I raz to się zdarzyło tak, że... Matki Boskiej Zielnej, tak to się święto nazywało. No to z bukietami tam tych kwiatów, domowych, łąkowych. No i siostra zrobiła również bukiet. Liście były, nie pamiętam już z czego. No i ta Żydóweczka zaczęła z tych liści strzelać. Kładło się liść i zaczęła w tym kościele strzelać, aż ksiądz usłyszał. A do kościoła mieliśmy ponad 3,5 km. Lasami żeśmy chodziliśmy. Żydówka nie była przyzwyczajona, a to nie chodziło się w butach, tylko na bosaka. Przeważnie Jadwiga ją nosiła na barana. Na plecy. Ciężko było, bo to las, to kolki, to szyszki, to korzenie. I tak to było, tak to w tej wojnie się życie toczyło.

Julia Krajewska: A mówił Pan o tych ziemiankach. Czy do tej pory są może jakieś pozostałości po tym, jakieś ślady, chociaż może?

Józef Maliński: Nie, bo te ziemianki to były robione co roku na ziemiach.

Julia Krajewska: A to były takie budynki, te były takie wkopane w ziemię z daszkiem, tak?

Józef Maliński: Tak, z daszkiem. To było zrobione ze słomy, z jakichś tam elementów drewnianych wzdłuż i na to się nakładało słomy i na to się nakładało piasek, tak że to się co roku robiło. A jeszcze zdarzyła się taka sytuacja, że oprócz takich ziemianek to jeszcze były tak zwane doły. Doły w tych ziemiankach to były głębsze...

Julia Krajewska: W lesie, tak?

Józef Maliński: Nie, na podwórku i też na ziemniaki. I wiosną się też tam wybierali. A w tych dołach to były ziemniaki przeznaczone do sadzenia wiosną. I było tak, że siostra z tą Żydówką weszły w ten dół, a ten dół był przykryty słomą. Ta słoma, która służyła jako zabezpieczenie przed zimą, przed mrozem, to tam została, te ziemniaki się wybrało, i to leżało. No i jak ktoś tam zobaczył tych Niemców, to ona z tą Halinką wpadła do tego dołu. To już nie taka ziemianka, tylko... A do tej ziemianki to... Aha, i jak wpadły, no to Niemcy przyszli, to nawet i tam nie zaglądali, tylko bagnietami tam w tę słomę, ale jakoś tam akurat nie trafili. Bo do tych ziemianek to siostry Jadwiga, Cecylia i ta Żydówka też wchodziły. Jak jeszcze ziemniaki były, to było tam z 10 metrów, może 8, to wyjście było z jednej strony, a tam dalej ziemniaki. Tam też wchodziły, aż tam, żeby nie widać było. Tam nawet kiedyś to zaglądali Niemcy, ale też nie zauważyli, a tam siedziały trzy osoby. No różnie było. Ja teraz z perspektywy czasu to opowiadam jako bajkę, ale wtedy to tak odczuwało się ten strach. A moja rola była taka, ponieważ brat znał trochę niemiecki, bo na Płatkownicy jak mieszkali, to mieszkali Niemcy koloniści, Niemcy koloniści to gospodarze, którzy przyszli z Prus. Hrabia Zamojski to im to oddał za darmo czy za pieniądze. Polacy nie chcieli się tym zajmować, bo strasznie pracochłonne było. Tam była puszcza, no i teraz jeszcze istnieje Puszcza Biała. To za Bugiem, w okolicach Broku. I po tej stronie Bugu też

była ta puszcza. Drzewa były takie duże. Niemcy w okresie powstania listopadowego około 1830 roku przybyli tam. Zadomawiali się i karczowali ten las, Bugiem spławiali do Prus Wschodnich, a ziemię uprawiali, i część tego drewna wykorzystywali na budowę mieszkań i budynków gospodarczych. No i potem dziadek odkupił od takiego Niemca gospodarstwo i stąd znalazł się między Niemcami. Jak nie jedyne, to jedno z pierwszych gospodarstw polskich tam wśród Niemców. Żyli w bardzo dobrym porządku, w zgodzie, ale tam się dzieci rodziły, dorastały, te niemieckie, no i nasza rodzina. I stąd starsi bracia mówili po niemiecku, bo razem się bawili. A w tej Płatkownicy był i kościół, i szkoła niemiecka. Rzeźnia była, tak się to nazywało. I olejarnia też była we wsi. No i brat, jeden z braci Tadeusz, ponieważ był w AK i znał ten niemiecki, wtedy już miał 18 lat, Zygmunt 20. I nauczył mnie piosenki po niemiecku. I mówi tak: „Jak przyjdą Niemcy na rewizję, to ty sobie śpiewaj”. No i nauczyłem się. Kilka słów pamiętam z tej... Do tej pory nie wiedziałem, aż teraz wyjaśniły mi niemieckie dzieci na spotkaniu. Ta piosenka: „Wenn die Soldaten durch die Stadt marschieren, öffnen die Mädchen Fenster und die Türen ...”. Nie wiem, czy to prawidłowo, czy nieprawidłowo. Ja to przytoczyłem dzieciom, to zaczęły się cieszyć, śmiać się. Powiedziały, że to żołnierze idą drogą, a dziewczyny otwierają okno i patrzą za nimi. To jest jedna ze zwrotek, tam chyba z dwie śpiewałem, ale już nie pamiętam. Nawet nie wiedziałem, co to znaczy. – Czy pan wie, co stało się z tymi trzema Żydówkami po wojnie? – Tak, wiem. Przeżyły. Najpierw wyjechały do Łodzi. Jedna wyszła za mąż, też za Żyda. Żyd miał bardzo dobrą posadę. Chyba w skali państwa został urzędnikiem do spraw upaństwowienia młynów polskich prywatnych. Jak to się nazywało? To ja tylko mogę swoimi słowami, bo nie pamiętam, jak się to nazywało. Doszło do tego, że brat Roman, to był dorastający wtedy, w czasie okupacji, on pracował na kolei, początkowo nie, a potem pracował na kolei. Na stacji kolei Małkinia. I jak pracował tam, to dowozili... Aha, i koleją wywozili żwir, który był kopany w Treblince. No i też tam wytworzyła się grupa, która pomagała Żydom i Polakom, bo tam był obóz polski i żydowski. I żywność dowozili. No i pomagał tutaj tym naszym Żydówkom. Prawdopodobnie nawet chodzili za granicę po pszenicę z tą Marysią panną, ale tego ja nie pamiętam. A granica to była na Bugu przed Małkinią, dwie stacje dalej od nas. No i ten Roman został zaproszony, żeby tam przyjechał, to mu załatwił pracę i mieszkanie. No i zaczął mieszkać właśnie u tej Marysi, zamężnej już wtedy. Ale nie bardzo mu tu pasowało. Niezręcznie mu było tam mieszkać zresztą. Z wielu powodów. On był w AK, a ten pan, co jak się okazało, był wydelegowany, może nawet przez Związek Radziecki. Albo nie, tego nie wiem. – Jakieś powiązanie mogło być, tak? – Jakieś powiązania, bo dobrze się miał no i takie stanowisko dostał. No i brat tam zrezygnował z tego. Jeśli chodzi o tych starszych z mojej rodziny, Zygmunt najstarszy, to teraz się zastanawiam, bo z takiej rodziny biednej, ale w Warszawie już chodził do szkoły, do szkoły zawodowej, technicznej szkoły. Jak ona się nazywała ta szkoła? Taka znana szkoła. No i dostał potem pracę w Warszawie, ale pracował do wojny. Jak Niemcy przyszli, to już wszyscy powracali do domu i Tadeusz też. No i tak to było. Aha, jeszcze było tak, że jak było zagrożenie, to tę mamę, tę Żydówkę mamę nasza mama zawiozła do swojej siostry właśnie tam nad Bug, do Płatkownicy. Tam mieszkali, bo tam spokojniej było, bo tam trudny dojazd. Tam z miesiąc, może ze dwa, trudne czasy były. Ta siostra nazywała się Kalbarczyk.